Rok V. | Tarnów — Brzesko | Nr 2.
16 stron druku | Grudzień 1938 r. | Cena numeru 20 groszy



Adres Redakcji i Administracji: Tarnów, III. Państwowe Gimnazjum.

W dwudziestolecie Odrodzonej Polski

(Szkolnictwo w czasach zaborczych — a dziś)

Upłynęło 20 lat od czasu, gdy Polska zrzuciła jarzmo niewoli i odżyła znów jako wolne niepodległe państwo. A już szczególnie bieżący rok napełnia nas dumą, gdy osobiście i naocznie doświadczamy, że Polska jest naprawdę mocarstwem, z którym się liczy Europa, jeśli tylko wspomnimy bezkrwawe zwycięstwa naszej polityki względem Litwy i Czechosłowacji.

Nasi rodzice przeżywają tę dwudziestą rocznicę odrodzenia Państwa Polskiego zapewne z większym rozrzewnieniem niż my młodzi, którzyśmy się urodzili już w wolnej Polsce, dla których i cud nad Wisłą i powstania śląskie są już tylko wiadomościami poznanymi z historii.

Badania naukowe i mowy mężów stanu stwierdzają ogromny postęp w ciągu 20 lat na każdym kroku. My weźmy tylko pod uwagę szkolnictwo.

Zabór austriacki.

W zaborze austriackim rozwijało się szkolnictwo pomyślnie. Ale szkoły powszechne były pod opieką władz autonomicznych t. j. gmin, Rad Powiatowych i Sejmu Krajowego we Lwowie, którego organem wykonawczym był Wydział Krajowy. Na rzecz samorządów wolno było pobierać tylko 10% podatku państwowego. Uchwałę wyższego podatku musiał zatwierdzić cesarz. Chociaż więc Sejm Krajowy we Lwowie stworzył wraz z gminami i powiatami od początku swego istnienia t.j. od r. 1868 prawie w każdej gminie bodaj szkołę jednoklasową o jednym nauczycielu, to jednak pobory nauczycieli były bardzo marne (od 36 — 100 koron = dzisiejszych złotych miesięcznie).

A w Polsce utrzymanie szkolnictwa powszechnego przeszło na barki rządu i nauczycielstwo jest zrównane w poborach z urzędnikami.

Szkół średnich było pod zaborem astriackim stanowczo mniej niż procentowo w niemieckich i czeskich krajach Austrii. Gdy oglądamy biblioteki i zbiory gabinetowe, pozostałe po rządach zaborczych, to litość bierze patrzeć na ich szczupłość i lichy stan. Stwierdzają to inwentarze.

Szkoły zawodowe jak: handlowe, przemysłowe, rolnicze były również pod opieką Sejmu i Wydziału Krajowego i miały o wiele gorsze wyposażenie niż gimnazja. Dopiero Polska wzięła na barkiMinisterstwa Skarbu i W.R. i O.P. szkoły zawodowe, dlatego rozwijają się coraz lepiej.

Zabór pruski.

W zaborze pruskim całe szkolnictwo było w rękach rządu. Trzeba przyznać, że rząd pruski bardzo dbał o uposażenie szkół. Ale wszystkie szkoły były niemieckie. Nie wolno było rozmawiać ze sobą po polsku ani nawet modlić się Polakom przed nauką po polsku, bo za to dzieci bito. Dotąd kursują szczegóły o biciu dzieci za modlitwę polską we Wrześni i na pamiątkę tego barbarzyńskiego postępowania założono obecnie we Wrześni szkołę pomnik.

Kto więc chciał się nauczyć po polsku, uczył się i czytał tylko w domu prywatnie.

Gimnazjów i szkół średnich założyli Niemcy dość dużo na terenie Poznańskiego, Pomorza i Śląska. Ale zakładali je tam, gdzie był znaczny odsetek Niemców. W miastach zaś nawet dość dużych, gdzie był znikomy procent Niemców mimo starań posłów polskich a nawet i niemieckich — gimnazjów nie zakładano, aby nie dać młodzieży polskiej możności skupienia się i kształcenia się choćby po niemiecku.

Daremnymi były też starania, aby na terenie zaboru pruskiego założono jakikolwiek uniwersytet lub wyższą akademię. Musieli więc Polacy iść po ukończeniu szkół średnich tylko do głębi Niemiec na uniwersytety i tam się rozpraszać. Nie wolno im tam było zgłaszać się jako Polacy, tylko jako „Prusacy", choć takiej narodowości nie ma.

Dopiero Rząd polski założył uniwersytet w Poznaniu i kilka nowych gimnazjów w miastach polskich, a szkoły zamienił na polskie zostawiając jednak niektóre dla Niemców, z niemieckim językiem wykładowym.

Zabór rosyjski.

W zaborze zaś rosyjskim po r. 1863 nie tylko szkoły zupełnie zrusyfikowano, ale przede wszystkim starano się nie dopuścić do rozwoju szkolnictwa. Po wsiach więc szkół nie było prawie zupełnie; a jeżeli gdzie szkołę założono, to tylko rosyjską. Obraz tego szkolnictwa każdy poznać może ze „Syzyfowych prac" Żeromskiego, „Chłopów" Reymonta, z „ABC" Orzeszkowej i wielu innych utworów powieściowych lub nowel.

Szkoły średnie były jedną katuszą moralną dla młodzieży; a była ich znikoma ilość, przeznaczona tylko dla Moskali, a Polakom utrudniano w nich studia przez numerus clausus, podejrzenia o spiski i t. p.

Uniwersytet wileński i liceum krzemienieckie zamknięto już po powstaniu listopadowym, a uniwersytet warszawski w niewiele lat po powstaniu styczniowym, a otwarto natomiast rosyjski uniwersytet i politechnikę w Warszawie.

Od r. 1905, w którym nadano konstytucję w Rosji, wolno było na mocy tej konstytucji otwierać prywatne szkoły polskie; lecz rząd rosyjski narzucił i prywatnym szkołom polskim naukę literatury rosyjskiej, historii i geografii w rosyjskim języku i zastrzegł naukę tych przedmiotów dla rodowitych Moskali, aby mieć szpiegów i obserwatorów rosyjskich wśród skupień młodzieży i nauczycieli polskich.

Te wszystkie braki usunął Rząd polski jednym zamachem. O szkolnictwo powszechne na terenie b. zaboru rosyjskiego stara się najwięcej, gdyż było w największym zaniedbaniu.

W ciągu dwudziestolecia Odrodzonej Polski wzrosło szkolnictwo ilościowo na ziemiach b. zaboru pruskiego i austriackiego o 50 proc., na ziemiach zaboru rosyjskiego drogą akcji rządowej o 300 proc., a drogą akcji prywatnej Macierzy Szkolnej o dalszych 200 proc, co jeszcze nie zaspokoiło potrzeb oświatowych. **Z.**

Miłość

Miłość to zapał, wesele, śpiew,
nie czcze marzenia, tęskoty, łzy,
lecz czyn, co w żyłach rozgrzewa krew,
a w rzeczywistość zamienia sny.
Miłość to uśmiech, radość, wesele,
co śmiało naprzód rwie się, wybucha,
co ze sztandarem dąży na czele
I w mniej odważnych zapala ducha.
Miłość odpędza zwątpienia cień,
gorąco wierzy i kocha świat,
z nadzieją wita wschodzący dzień,
omija ciernie i zrywa kwiat,
O młode serca, bijcie tak żywo,
z zapałem, raźnie, śmiało, z weselem,
i twórzcie silne spójne ogniwo,
niech szczęście wszystkich będzie nam
[celem.

Gertruda Schabowska.

Sprawa ukraińska

(Separatyźci ukraińscy, lojalni Rusini i Polacy greckokatolicy)

Dzienniki donosiły o awanturach ukraińskich, jako demonstracjach przeciw Rządowi polskiemu i węgierskiemu z powodu dążeń do wspólnej granicy z Węgrami.

Dzienniki poruszają wciąż sprawę naszego współżycia z Rusinami. Piszę „Rusinami“, bo trzymam się nazwy historycznej, i dlatego, że Rusini dzielą się na dwa zasadnicze stronnictwa polityczne ukraińców i tak zw. starorusinów, którzy nazywają siebie Rusinami.

Wrogie ustosunkowanie się do Polski objawia się w partii ukraińskiej, lojalne zaś w staroruskiej.

Większość młodzieży jest pod wpływami partii ukraińskiej i to jest dla przyszłości Polski niebezpieczne, jeśli w tym nastroju, jaki żywi młodziez, wzrastać będzie społeczeństwo ruskie, jeśli w gimnazjach ruskich, gdzie do niedawna nie było żadnego ucznia ani nauczyciela Polaka, nieraz cały zakład za wspólną zmową, a nawet za wiedzą nauczycieli współdziałał w podpalaniu dworów i domów polskich. Tak było w Tarnopolu, dlatego to gimnazjum przed kilku laty zamknięto.

Dlatego rząd założył wiele szkół utrakwistycznych tj. mieszanych i o dwóch językach wykładowych. Lecz to najbardziej nie podoba się ukraińcom, bo widzą w Polakach szpiegów i radzi by ich się pozbyć.

Co zaś wpływa na szerzenie się separatyzmu? Ci ukraińcy, którzy z powodu spisków ucierpieli, podniecają innych dalej do nich. — Polacy zaś, którzy od spiskowców ucierpieli, uciekają stąd, a to uważają spiskowcy za swój tryumf.

Jedynym wyjściem jest wzmacniać tylko żywioł polski w każdym stanie i zawodzie. Parcelować dwory tylko między Polaków z zachodu, do fabryk sprowadzać robotników, do sklepów kupców, rzemieślników, urzędników, tak, by ani jednej dzielnicy w mieście czy na wsi nie było czysto ruskiej, by co drugi dom i mieszkanie było zajęte przez Polaków. — Polacy powinni tylko wzmacniać swój stan liczebny, a nie osłabiać go.

W przeciwnym razie może Polaków zaskoczyć jakaś „noc św. Bartłomieja“, albo „sycylijskie nieszpory“, tak jak Lwów i „Galicja wschodnia“ została zaskoczona ogłoszeniem „Ukrainy“ 1 listopada 1918, a „Orlęta lwowskie“ musiały potem z nią walczyć przez 8 miesięcy.

Starsze pokolenie nie jest tak wrogo usposobione do Polski. — Od pewnego starszego, już około 50 letniego Rusina, urzędnika pocztowego, słyszałem takie słowa:

— Przykro mi było, że się tu Ukraina nie utrzymała, lecz inne miałem o niej marzenia. — Wychowałem się w tych czasach, gdy idee polskie i ruskie były te same gdy Polacy urządzali wieczorki ku czci polskich wieszczów lub powstań, to my Rusini braliśmy w nich udział i śpiewaliśmy „Jeszcze Polska nie zginęła“, a na odwrót, gdy Rusini urządzali wieczorki ku czci Szewczeńki, to Polacy śpiewali wraz z nami „Szcze ne wmerla Ukraina“. Wyobrażałem sobie, że gdy przyjdzie do wojny z Rosją łatwo ją pokonamy, a cesarz austriacki ukoronuje się królem polskim w Warszawie, a królem ruskim w Kijowie Cesarz skupi koło siebie kilka wolnych federacyjnych państw jak Austrię, Węgry, Czechy, Polskę, Ukrainę, Serbię, że będzie to rodzaj europejskich „Stanów zjednoczonych“ pod jednym berłem. Sądziłem, że zatrą się granice między narodami, a wspólna dynastyczna racja stanu będzie godzić wszelkie spory narodowościowe. Lecz wojna zmiotła Habsburgów, powstały republiki narodowe, na wskroś szowinistyczne. Tu partia ukraińska chciała jednym zamachem wynarodowić i wytępić Polaków. Ja sobie wyobrażałem, że i na Ukrainie Polacy i Rusini będą mieli równe prawa, a ponieważ na Ukrainie jest Rusinów przewaga, więc siłą rzeczy będzie więcej urzędników ruskich niż polskich. Cóż, kiedy młodzież nasza była tak zawzięta, że w ciągu kilkomiesięcznych rządów w r. 1918-19 straciła wszelką sympatię w świecie. Ja jestem lojalnym względem Polski, jak byłem względem Austrii. Wiem że Lwów ani Galicja wschodnia nie stanowi Ukrainy. Że państwo takie jak „Zachodnia Ukraina“ nie mogło się utrzymać, zwłaszcza, gdy odmawiało u siebie Polakom wszelkich praw do życia i rozwoju. Polska, choć pokonała Zachodnią Ukrainę, zostawiła Rusinom wszystkie te prawa narodowościowe, któreśmy mieli za Austrii. Byłem lojalny i wierny Austrii, jestem też lojalny i wierny Polsce.

— Czy wielu Rusinów ma te same przekonania? zapytałem mego informatora.

— Wszyscy urzędnicy państwowi i autonomiczni. a nadto starorusini Wspólna praca, wspólna dola i niedola, wspólne idee, jakim służymy, łączą nas, tak że w biurach wzajemnie sobie ufamy i zawsze Polacy bronią Rusinów niesłusznie posądzonych o nieprawomyślność lub udział w zamachach młodych terorystów.

Osobną grupę lojalnych względem Polski Rusinów stanowi partiia staroruska: Są to chłopi i ich nieliczni przywódcy partyjni. Stanowią oni $\frac{1}{4}$ a może nawet $\frac{1}{3}$ ogółu ruskiego. Historii tej partii jednak należy poświęcić osobny artykuł.

Lecz są też w Małopolsce wschodniej Polacy grekokatolicy. Ci wyrażają swe przekonania w mie-

sięcznikach „Grekokatolik" i „Pobudka" wydawanych po polsku. Oni nazywają siebie gente Rutheni natione Poloni, tak jak St. Orzechowski z XVI. w., Rewakowicz redaktor i założyciel „Kuriera Lwowskiego" lub powieściopisarz Plato Kostecki.

Są nimi wszyscy prawie inteligenci, pochodzący ze szlachty zagrodowej lub Mazurów, którzy zostali grekokatolikami z braku kościoła łacińskiego. Dla nich np. Chmielnicki był zdrajcą Polski, gdy ukraińcy uważają go za swego Kościuszkę(?!) Ci Polacy grekokatolicy szczycą się, że tak sławni bohaterowie polscy jak Żółkiewski, Chodkiewicz, Wiśniowiecki, Sobieski, Pułaski, Kościuszko, pisarze jak Orzechowski, Słowacki, Zaleski, Goszczyński, Sienkiewicz, pochodzili z Kresów i byli albo wprost grekokatolikami, albo pochodzili z bojarów ruskich, którzy się zamienili w szlachtę polską i bronili tak Polski, jak i Rusi przed barbarzyństwem Wschodu.

Rodzice tych inteligentów szlacheckiego pochodzenia choć przeważnie mówią po rusku, ale czują się Polakami i dzięki wysiłkom dzieci, będących na lepszych stanowiskach zorganizowali „Związek Szlachty Zagrodowej", który siłą przeciwstawia się zamachom separatystów i terorystów ukraińskich. Drużyn tego związku nie mogą strawić separatyści ukraińscy, dlatego na ich działaczy dokonują zamachów

Inteligencja pochodząca ze szlachty zagrodowej częściowo przeszła na obrządek łaciński, lecz obecnie to uznała za złe, bo ich Rusini nazywają „renegatami", „przechrztami", po rusku „perekińczykami". Dlatego, aby na te wyzwiska nie zasługiwać, dzisiejsze pokolenie młode nie zmienia już obrządku, ale głosi z całą odwagą cywilną, że są Polakami greckiego obrządku i domagają się od księży ruskich kazań polskich dla siebie i pieśni polskich w cerkwiach. W miesięczniku „Grekokatolik" wyraźnie stwierdzają, że obrządek greckokatolicki nie stanowi Rusina. Obrządek grecki jest im miły dlatego, że zarówno ksiądz jak i wierni modlą się wspólnie w języku dla nich zrozumiałym, ale są oni Polakami a nie Rusinami, tak jak był Wiśniowiecki, Żółkiewski, Sobieski i inni bohaterowie z Kresów.

Jest nadzieja, że ten odłam pociągnie za sobą wielu Rusinów nie tylko do przymusowej lojalności, ale do prawdziwego patriotyzmu polskiego.

P.

Poezje K. Dobrzyńskiego

Spośród całego szeregu współczesnych wierszy, z morza słów rymowanych, wybiega dziwna i tak wiele różniąca się od innych poezja K. Dobrzyńskiego.

Wyczuwamy ją jedynie, boć to poezja czucia. Działa na nas niezgłębioną dynamiką i ekspresją słowa. Z bladych kartek tomiku poezji „Żagwie na wiatrach" wyziera naprawdę furia. Poeta, ukołysany rytmem i stukiem maszyny fabrycznej Łodzi, tworzy w takt ustawicznych stuków i zrzędzeń kolosów łódzkich. Całą swą duszę wlał w życie ukochanej Łodzi. Muza oderwała go od warsztatu tkackiego, przy którym stanął jako kilkunastoletni chłopak. Wychował się na Chojnach na przedmieściu Łodzi. Ojce jego przybyli ze wsi, osiedlili się w brudnych koloniach Baut i pracowali w tkalniach na kawałek chleba. Tak rósł Dobrzyński i tak jego poezja. Poezja o elementach polskości i patriotyzmu, umiejąca ciskać w swych wierszach gromy i plwać prosto w twarz niektórym potężnym władcom Łodzi za podły i fałszywy stosunek do Ojczyzny:

„Paruje tak jak dawniej z rynsztoka, gdy brzeg sechł
i niebo mknie do góry — lazurowa winda,
ale słońce nad Łodzią dziś świeci na weksel,
ale gwiazdy i księżyc robią w nocy szwindel.
Tobie przędza, dolary i gest jaśniepański,
Czarnej Łodzi — zaułkom — sznur gruby na krtań
Nahumie Ejtingtonie — czy słyszysz?
Na Gdańskiej skrzyp szubienic wiatr niesie w ulice
[go gna
Znów się tygrys odzywa, przeciąga się, ziewa,
Łapy ulic się prężą i słońce w kłach gra"......

Nie tylko jednak umie piętnować. W tomiku poezji widnieje prawdziwy kryształ — dalekie, a tak bliskie wspomnienie i apoteoza bohaterskich czynów:

„Błogosławieni bądźcie, wy mali i wielcy,
o święci kajdaniarze i święci wisielcy,
coście dłonie krwawili na pałkach i knucie
o święty Borelowski i święty Traugucie
Wy szaleńcy spartańscy, z ekstazą w źrenicach,
zbuntowani na forum rzymscy niewolnicy,
zawieszeni na hakach, wśród rzezi wyrznięci,
błogosławieni wszyscy i wszyscyście święci,
Że danym wam było, zdobywcy bez trwogi,
wam jedynym i jednym mówić twarz w twarz z Bogiem"

Cóż jeszcze znajdziemy w jego poezji? „Wyczucie narastającej dynamiki mas" Społeczeństwo nie rozumie robotników — tych chłopców wywijających nożami na przedmieściach Łodzi w czasie zabaw i wesel. Twierdzi, że nie jest to wpływ wódki ani barbarzyństwa — to

nadmiar sił żywotnych. Dotąd te siły były marnowane w awanturach, Dobrzyński zapowiada nowy okres w życiu klasy robotniczej. Odpowiednie związki zawodowe, które będą propagowały idee patriotyzmu, miłości Ojczyzny, odsuną robotników od haseł „walki klas“ siły zostaną użyte do pracy nad wielkością Ojczyzny. Tutaj wyjawia się jak gdyby bunt i patos, ale „patos realny“. Przeczuwa wielkie wydarzenia w życiu mas robotniczych:

„Idzie Maj... Wulkanami z serc młodych wytryska.
Serca parzą jak ogień,
dynamitem już syczą w zatęchłych łożyskach“ — —

Wrócić należy jednak do patriotyzmu Dobrzyńskiego. Góruje wszędzie, jest naprawdę dynamiczny, wpada do nas jak huragan niepowstrzymanym impetem, przeraża i zmusza do wspomnień dawnych ciemiężycieli ojczyzny, a nawet całej ludzkości „Atak“:

„Ty, Warszawo, ty jedyna wszystko to [pamiętasz:
młody księżyk w sutannie i szczeniaki — [święta

Runęli, jak lawina!
Na przedzie sutanna!
Naprzód!! Naprzód!
Za hańbę! Za knut! Za niewolę!
Za mogiły! Za kości rozsiane po polach! Za kajdany!
Za stryczki! Za krzywdę! Za ciosy!
Lśniący wicher bagnetów! Przeprują! Rozniosą!!!..“

Znamy poetę też z innej strony. Znamy go jako liryka. Odżywa krew dawnego wieśniaka — pamięta, marzy i śni o pięknych polach wsi, widzi jej cudowność, na której łonie wyrastali jego dziadowie:

„Śnią mi się lasy, pachnące lasy
i przecudowna soczystość łąk
i dawne cudne dziecińst'wa czasy
i kwiaty barwne prześlicznej krasy
w fabrycznej hali pachną mi w krąg“...

Na koniec wychyla się dusza poety czysta i świeża, hołd składająca Stwórcy, spokojna, cicha i prosta. Rozmarzone oczy na Krzyż zwraca, tam znajduje ukojenie, szczęście. Rozmawia z Chrystusem, Widzi Jego cierpienia i ludu swojego. On tak umiłował nędzę, On Chrystus wśród biednych.

„Nie widziałem Cię w dzwonach, huczących, nad miastem w barwnych flagach, co rojem sfrunęły na mury, ni w przepychu procesji, którą wodził zastęp dostojników w fioletach, w płomieniach purpury..
Ale widzą Cię codzień po bocznych uliczkach
po zaułkach wśród nędzy, w wyszarzałem palcie,
gdy noc kwitnie na niebie zielonym księżycem,
chodzisz, ślady stóp krwawych znacząc na asfalcie
Wiem, gdy będę drżał w męce w noc chmurną i mglistą
i łbem kruszyć chciał mury i skomlił rozpaczą
przyjdziesz do mnie, obejmiesz i razem zapłaczesz
Ty, z krzywego zaułka Król nędzy —
Mój Chrystus“.

Oto poezja Dobrzyńskiego, przyponinająca czasem poszum wichury, — Poezja, którą podziwiamy i przyjmujemy z radością, boć przecież niewielu dorównać jej może. Dobrzyński to poeta jutra. Koledzy! W Jego twórczości znajdziecie to, czego od współczesnej poezji pragniecie.

E. Bernacki II. liceum klas.

Kronika kulturalna.

Wśród książek

Zofia Bohdanowiczowa „Droga do Dangiel“

Powieść, ta uzyskala nagrodę „Księgarni św. Wojciecha“ i wyróżnienie. Autorka maluje plastycznie panoramę pogranicza polsko-litewskiego. Przedstawia groźne starcie dwóch sił, rozwijających się na granicy wschodniej państwa. Pierwsza to odwieczna, stara, przepełniona zasadami katolickimi kultura polska, druga to fałszywa, przewrotna, podstępna, początek mająca w Bolszewii, siła nacjonalizmu litewskiego.

Do walki stanęły dwie osady Bobryszki i Lipowszczyzna. Pierwsza ze swym wodzem Wincukiem młodym narodowcem litewskim, druga ma za wodza starego o dawnych a dobrych zasadach Jana Szotnę.

Miłość Wincuka do córki Szotny Ignaśki powoduje tragizm i zawziętość, którą wzmacnia w obu szeregach. Autorka nie rozwiązuje kwestii polsko-litewskiej, przedstawia tylko jej tragizm, przepiękne zalety ludu polskiego, jego niezgłębioną wiarę i twórczą siłę, przedstawia życie kresowe. W końcu ponad akcją unoszą się przepięknie malowane krajobrazy Wileńszczyzny. ozdobione przydrożnymi krzyżami odznakami wiary i religijności ludu polskiego. Książka powinna zaciekawić młodzież polską ze względu na jej wartość moralną.

Dla Kół Krajoznawczych.

Z prawdziwą przyjemnością czytamy felietony Z. Nowakowskiego. Podobnym w stylu i w intencjach jest felietonista wileński **Józef Mackiewicz.** Niedawno zjawił się zbiór jego felietonów p. t. **„Bunt rojstów“.**

Tytuł książki dziwaczny, niby rewolucyjny, ale to dla reklamy. „Rojsty“ to lokalna, białoruska nazwa błot

bagien; słowo „rojsty" znaczy mniej więcej to samo, co rosyjska „tundra". „Bunt rojstów" to przedstawienie reagowania mieszkańców białoruskich na różne niefortunne zarządzenia władz miejscowych, które opacznie nieraz jakąś ustawę wykonywały n.p. ustawę rybacką, skąd wypłynął proces z wsiami nad Naroczą, dziwne rozporządzenia z powodu ustawy o ruchu pogranicznym, ustosunkowanie się władz do sekt religijnych it p. J. Mackiewicz wydaje o tych sprawach swój sąd w prasie i uzyskuje zazwyczaj zmianę postępowania władz, podobnie jak Z Nowakowski.

Lecz książeczka ta zasługuje głównie na uwagę Kół Krajoznawczych. Rozczytywanie się o podróżach po Wileńszczyźnie między Wilią, Dźwiną a Prypecią jest tak interesujące, że wprost wydaje się, jakby się czytało o podróżach po krajach egzotycznych; podobną jest pod tym względem do książek podróżniczych Arkadego Fiedlera „Ryby śpiewają w Ukojali" lub „Kanada pachnąca żywicą". To pokonywanie przestrzeni 300 km. na łodzi, wózku, saniach i pieszo po błotach, to odkrywanie nieznanej wsi Mitrycz, jak nieznanej jakiej oazy w Afryce, czy osady w puszczy kanadyjskiej, czy wyspy na Oceanie Spokojnym, czyni tą książeczkę więcej interesującą, niż niejedna książka podróżnicza o krajach obcych.

Nasze bowiem kresy północno wschodnie to jeszcze naprawdę kraj nieznany światu, nieznany nam samym, to kraj skrajnej nędzy, większej niż u Murzynów i Indian amerykańskich.

Dodać należy, że autor jest zupełnie bezstronnym, służy w swych felietonach tylko prawdzie dla dobra Ojczyzny i mieszkańców naszych północno-wschodnich kresów. **P.**

Melchior Wańkowicz „Na tropach Smętka"

Już 5 wydanie wyszło w ciągu roku, a to piąte wydanie ma dodaną okładkę z napisem „książka, która poszerzyła Ojczyznę". Jest to bardzo ciekawy reportaż dziennikarski z podróży kajakiem i autem po Prusiech Wschodnich. Autor podał tam bardzo dokładne wiadomości o warunkach życia Mazurów pruskich w czasach dzisiejszych jak i dawnych, a zwłaszcza nieszczęśliwego dla nich i dla Polski plebiscytu, które to wiadomości zebrał w czasie podróży z relacyj ustnych i studiowania pism miejscowych dawnych i dzisiejszych, oraz dodał wiele „przyczynków" do historii tego kraju na podstawie głębokich i dokładnych studiów książkowych. To kraj na pozór dla narodu polskiego stracony, tym boleśniej stracony, że ciążko odpokutowali ci, którzy w plebiscycie w 1920 r. głosowali za przyłączeniem go do Polski, a jednak gdyby były możliwe częstsze tak przemyślnie obmyślane podróże polskich geografów, historyków i dziennikarzy, jak autor przedsięwziął, to niewątpliwie ci Mazurzy, których Niemcy uważają za wymierających, odżyliby jako patrioci polscy i nawiązaliby z nami stosunki kulturalne, a może i polityczne, choć się dziś wszelkimi siłami zapierają tego, że nie są Polakami głoszą wszystkim, że są Niemcami.

Jednym słowem książka wyraża przekonania, że łudzą się Niemcy, jeśli sądzą, że Mazurzy pruscy są zniemczeni.

Książka ta ma tyle cennych ilustracyj zwłaszcza dotyczących plebiscytu na Mazurach, działaczy polskich i ich grobów, że świadczyć będzie wiekuiście o straszliwej mściwości teutońskiej, nie ustępującej akcji krzyżackiej.

Książka ta powinna się znaleźć w kilku egzemplarzach we wszystkich bibliotekach szkolnych. **z.**

Dla Kół Misyjnych i amatorów geografii.

Albert Schweitzer prof. dr teologii, filozofii i medycyny **„Wśród czarnych na równiku".**

W polskich wypisach szkolnych dla kl III „Mówią wieki" jest czytanka p. t. „Policzek" o pierwszym naszym działaczu z zakonu misjonarzy Baudouinie. Piękna ta nowela odsłania tylko częściowo cele, zadania i środki misyjne tego zakonu. Kto jednak przeczyta książeczkę Alberta Schweitzera „Wśród czarnych na równiku" zrozumie dopiero doskonale sposób działania zakonu misjonarzy wśród murzynów na terytoriach francuskich czy angielskich. Są tam bardzo ciekawe wspomnienia z działalności lekarskiej na stacji misyjnej ewangelickiej w Lamperene, kolonii francuskiej nad rzeką Ogawe w okresie wojny światowej, gdy jego stacja misyjna była pozbawiona wszelkiej pomocy ze strony Francji.

Zaciekawią nas wszystkie środki działania misjonarzy jak szkoły, szpitale, domy modlitwy, praca na roli i w lesie, handel z Murzynami, które można porównać z dawną działalnością benedyktynów wśród ludów pogańskich w średniowieczu.

Z książeczki tej widzimy tę naprawdę akcję samarytańską, wymagającą ogromnego poświęcenia i przygotowania naukowego; choć autor jest doktorem trzech wydziałów i jeszcze ledwo może się zdobyć na skuteczną działalność.

Nas jako katolików uderzy to, że autor będąc misjonarzem ewangelickim, przyznaje wyższość religii katolickiej jako więcej pociągającej Murzynów obrazami świętych i strojnością kościołów. Zresztą misje katolickie czy ewangelickie nie robią sobie wzajemnej konkurencjii, spełniają zgodnie cele samarytańskie, bo to jest głównym środkiem pociągających pogan do oddawania się w opiekę misjonarzom. Toteż kraje, mające kolonie w Afryce, udzielają misjom wszelkiej pomocy, bo one tylko zdobywają tamtejszych mieszkańców dla kultury europejskiej, one czynią z Murzynów obywateli państw mających kolonie.

Jeśli my kiedyś będziemy mieli własne kolonie w Afryce, a spodziewamy się, że to w niedalekiej przyszłości nastąpi, to na książeczce Schweitzera uczmy się, jak mamy postępować z mieszkańcami kolonii i ile musimy pokonać trudności, aby z terenów kolonialnych i ich mieszkańców mieć korzyść.

Książeczka łatwa i przystępna nawet dla najniższych klas; powinna się znaleźć w Kołach misyjnych i bibliotekach geograficznych. **b.**

Dla amatorów przyrody.

Gray Owl = Szara Sowa (WA — SHA — AUON — ASIN) **„Pielgrzymi puszczy“**, słowem wstępnym zaopatrzona przez Arkadego Fiedlera. Przepiękna to książeczka, napisana przez Indianina kanadyjskiego, który po wojnie światowej, w której brał udział, udał się z młodą żoną również indyjskiego pochodzenia na puszczę, aby żyć życiem dawnych Indian wśród zwierząt niszczonych przez ich łowców dla futer. Wśród długich poszukiwań, po wyczerpaniu, a raczej zniszczeniu zebranych zapasów żywności znalazł nareszcie kraj bobrów, które postanowił chronić, tym bardziej, że i rząd wydał surowy zakaz niszczenia zwierzyny. Założył tam domek, w którym oswoił uratowaną z pułapki parkę bobrów, a choć mu ją ktoś wykradł, mimo to założył nowe domostwo dla bobrów a wnet na życzenie rządu powstał tam przepiękny rezerwat bobrowy, żyjący wśród ludzi jakby zwierzęta domowe.

Bardzo miłe są studia nad życiem bobrów, ale jeszcze piękniejszą jest właściwość Indian, którzy uważają, że zwierzęta mają podobną duszę do ludzkiej, stąd pochodzi ta szczególna miłość Indian do zwierząt, co stwierdzają zresztą liczni podróżnicy.

Książeczka równie miła do czytania jak Curvooda „Łowcy wilków“ lub „Łowcy złota“ ale tym milsza, że napisana jest przez Indianina i oddaje bezpośrednio jego upodobania uwieńczone mianowaniem go przez rząd kustoszem rezerwatu z odpowiednią pensją.

Książeczka ta powinna się znaleźć w bibliotekach przyrodniczych i geograficznych. **z.**

To i owo z odkryć naukowych

Czy wiecie

...**dlaczego drżymy z zimna**, dlaczego, jak się to mówi, zęby nam szczękają? Zastanówcie się. Jedne rodzaje energii mogą przechodzić w drugie, ale jako ostatnia w tym łańcuchu przemian zjawia się energia cieplna. Gdy nam zimno, organizm nasz usiluje się bronić przed mrozem i wbrew naszej woli wprawia mięśnie nasze w szybkie skurcze i rozkurcze, w szybki ruch, którego energia zamienia się częściowo na ciepło. Drżymy więc z zimna, aby nam było cieplej.

...że **życie** nasze **zawdzięczamy ozonowi?** Gaz, którego znak chemiczny przedstawia się zupełnie prosto: O_3, Otóż ogromne ilości tego ozonu znajdują się w wyższych warstwach atmosfery na wys. 22 tys. m. Właśnie na szczęście dla nas. Ozon bowiem pochłania silnie krótkie promieniowanie, które gdyby dostało się na ziemię, zniszczyłoby w niedługim czasie całe życie naszego globu.

O działaniu niszczącym tego promieniowania możemy mieć wyobrażenie, gdy uprzytomnimy sobie ich olbrzymią przenikliwość i przypomnimy sobie, że już promienie nadfiołkowe mogą wywoływać dotkliwe oparzenia i zapalenie oczu, a promienie Röntgena, jeszcze krótsze, niszczą doszczętnie nasze tkanki, z czego korzystamy przy leczeniu raka. Gdyby więc nie ozon, krótkie promieniowanie dostałyby na ziemię, a dzięki swej przenikliwości odszukałoby nas w najciemniejszych kryjówkach, aby nas zabić.

...**Dlaczego próchno świeci?** Myślicie, że po to, aby nabawić porządnego strachu niejednego „odważnego“ strażnika obozu wakacyjnego? Otóż nie. Świeci dlatego, bo podobało się tam usadowić maleńkim stworzonkom, chrząszczykom, zwanym po łacinie szumnie neumura muscorum, które podobnie jak znany nam dobrze z dyszących ciepłem i wonią bzów, pełnych radosnego uniesienia nocy majowych robaczek świętojański posiadają pewne narządy, w których jako rezultat jakichś reakcyj chemicznych bliżej nam nieznanych, produkowane jest zimne zielonkawe światło.

Podobne stworzonka, ale już nie chrząszczyki, żyją także w morzach południowych dając w ciemne noce letnie wspaniałe efekty. Świecą one jednak tylko wtedy, gdy są podrażnione mechanicznie. Widzimy więc, kiedy fala uderzy w ostry brzeg rafy koralowej, jak woda zapala się księżycowym blaskiem każda kropla świeci, dając cudowne wizje iluminowanych kaskad i wodotrysków.

Dla tych, którzy by chcieli wiedzieć, jak się te czarodziejskie żyjątka zowią, podaję łacińską nazwę: noctiluca miliaris, jest pierwotniakiem i należy do korzenionóżek.

Nasze życie.

OBOZY PRACY

W artykule p. t. „Cześć pracy“ umieszczonym w poprzednim numerze „Świtu“ omówiłem pobudki, jakimi się kierowano powołując absolwentów szkół średnich na obozy Junackich Hufców Pracy. W tym zaś artykule opiszę jak zadania, które postawiono przed nami, były wykonane, w jaki sposób szczytne ideały pracy były w czyn wprowadzane — oraz jak wyglądało życie obozowe, przedstawione szczerze bez żadnych osłon i zakłamań. Obozy te były porozrzucane po całej Polsce i absolwenci gimnazjalni byli wysyłani w najróżnorodniejsze strony. Naszych tarnowskich absolwentów gościły trzy piękne pod wzglę-

dem krajobrazowym miejscowości górskie, a mianowicie Wierchomla (I turnus), Mszana (II turnus) i Worochta (III turnus).

Różne były miejscowości, do których przeznaczano absolwentów, nic więc dziwnego, że różne panowały stosunki; w jednych miejscach mogły być gorsze, w innych lepsze, jednak różnic zasadniczych nigdzie nie było. Ponieważ najbliżej są mi znane stosunki panujące na obozie w Wierchomli, jako że tam los kazał mi spędzić miesiąc czasu, poświęcę garść swoich skromnych uwag temu właśnie obozowi.

Przyjechaliśmy tam — przyznaję się do tego szczerze — z pewną obawą, jaką zresztą zawsze się odczuwa, gdy ma się zetknąć z rzeczą nową, tym bardziej, że co do niej nie tylko my, ale i jej twórcy nie wiedzieli, czego się mają spodziewać. Jednak już początkowe spostrzeżenia rozwiały nasze obawy. Wierchomla jest to mały przystanek kolejowy znajdujący się w samej połowie drogi pomiędzy uzdrojowiskami polskimi Piwniczną a Żegiestowem, odległy od nich obu o 8 km., położony w pasie granicznym polsko-czechosłowackim. Wierchomla jest zaliczana do najpiękniejszych zakątków tej części Polski. Majestatycznie sunący Poprad i gęsto zalesione olbrzymie masywy gór, z jakby przyczepioną do spadzistych stoków szosą, częściowo już wybudowaną, a częściowo będącą w trakcie budowy, to są podstawowe elementy tego krajobrazu. Same zabudowania obozowe znajdują się w nizinie dopływu Popradu Wierchomlanki w bardzo malowniczym położeniu. Stacjonuje tutaj 9 baon J. H. P., w którego skład wchodzą trzy kompanie liczące około 350 junaków, z czego 150 nas junaków z cenzusem — absolwentów gimnazjalnych.

Program dnia junaka był ściśle ustalony i wszystkie czynności począwszy od pobudki o godz. 4 30, aż do capstrzyku o godz 9 musiały być wykonane punktualnie. Najbardziej będzie zapewne wszystkich interesowała kwestia, jak się przedstawiała tam praca fizyczna, to właściwe zadanie nasze; od niej więc zaczynam.

Właściwej pracy fizycznej było poświęcone dziennie 6 godzin t. j. od 6 do 12. Praca ta była ujęta w ścisłe ramy i każdy miał wyznaczoną część, tak że o „garowaniu się" („obijaniu się" = nieróbstwie) trudno było marzyć. Zadaniem naszego baonu w Wierchomli było wykonanie szosy łączącej Piwniczną z Żegiestowem. Już połowa tej szosy została wykonana, a dalsza ćwiartka jest w trakcie wykonywania i będzie wykonana w bieżącym roku; na tym właśnie odcinku myśmy pracowali.

Kompania 25, do której zostali zaliczeni tarnowiacy, pracowała na części znajdującej się nad samym brzegiem Popradu bezpośrednio za przystankiem kolejowym. Zadanie wybudowania tej szosy należy do bardzo trudnych, bo na całej trasie nie ma prawie żadnego odcinka, przy którego wykonaniu nie trzeba byłoby nawozić olbrzymich ilości żwiru, kamieni lub też wkopywać się głęboko w teren, nasypywać brzeg Popradu i obcinać zbocza gór.

Wracając do odcinka, na którym myśmy pracowali, należy powiedzieć, że wykonaliśmy tu potrójną pracę: 1. budowaliśmy szosę, 2. regulowaliśmy tym samym brzeg Popradu, 3. wybierając żwir i kamienie potrzebne do tej budowy z dna Popradu Wierchomlanki — regulowaliśmy ją. Zasadnicze znaczenie w tej pracy miały wózki (koleby) o pojemności 0,75 m^3 (takie, jakich używa się n. p. w kopalniach); nimi to zwoziło się ten materiał. Do ładowania jednego wózka przeznaczano zazwyczaj pięciu junaków, z których każdy, aby naładować wózek, musiał wrzucić średnio — według moich obliczeń — około 80 łopat żwiru w czasie około 15 minut. Po naładowaniu, trzech junaków pozostawało na miejscu, a dwóch pchało wózek po szynach na brzeg Popradu, aby wrócić z powrotem po 25 minutach. Pchanie wózka było rzeczą bardzo ciężką, ponieważ tory były często w przedziwny sposób pokrzywione tak, że o katastrofę wózka wcale nie było trudno, poza tym poziom ich był bardzo niejednolity i stale trzeba było pchać wózek albo w górę, albo z góry, co nas bardzo męczyło; wreszcie niebezpiecznymi bardzo miejscami były odcinki torów, znajdujące się pod dwoma mostami (kolejowym i szosowym) ponieważ pod nimi trzeba było się bardzo nisko schylać, można było się łatwo obudzić na drugim świecie bez... głowy. Wózek trzeba było pchać około 300 metrów i wysypywać na brzeg Popradu, a junacy tam zatrudnieni zrzucali kamienie do Popradu poszerzając w ten sposób szosę. Praca tego poszerzenia szosy spotykała się nawet z protestem państwa czechosłowackiego, znajdującego się po przeciwnej stronie Popradu, które zarzucało nam, że nadsypując brzeg Popradu powiększamy swój stan posiadania ze stratą dla Czechosłowacji, której przesunięty w ich stronę Poprad zalewa nadbrzeżne pola. Nie potrzeba dodawać, że władze polskie na protest ten wcale nie zwróciły uwagi. Wracając do samej pracy trzeba stwierdzić, że chociaż nie pracowaliśmy nad normę, jednak w pracy trzeba było dobrze się uwijać, bo każda piątka musiała w ciągu 6 godzin pracy przewieźć 7 wózków. Ponieważ każdy z tej piątki wrzucał do każdego wózka około 80 łopat szutru, a więc dziennie wrzucał 560 łopat; a jeżeli przyjmiemy, że w czasie trwania obozu było pełnych 20 dni roboczych, więc każdy z nas wrzucił przez czas obozu ponad 10 tysięcy łopat szutru. Ładna liczba — co?! Przemianowawszy to na metry sześcienne stwierdziliśmy, że każdy z nas powiększył drogę o około 20 metrów sześciennych, 100 m. bieżących. Z samych liczb już wynika, że praca była istotnie ciężka; wielu porobiło sobie liczne bolesne odciski na rękach.

Tak się przedstawiała nasza podstawowa praca fizyczna. Wykonywaliśmy ją przed południem, zaś po przerwie obiadowej odbywała się musztra naturalnie łopatami; (w tym miejscu zapewne wielu Czytelników się uśmiechnie, jednak ja zapewniam, że nie żartuję nawiasem mówiąc chwyty stosowane przy tej mustrze są prawie identyczne z chwytami karabinem). Wychowanie fizyczne, oraz wykłady n.p. o ideologii i organizacji J.H.P., służbie, bezpieczeństwie pracy itp. Najwięcej zazwyczaj skarg na wszystkich obozach na pożywienie. Tutaj należy stwierdzić, że na obozie w Wierchomli, chociaż żadnych specjalnych przysmaków nie było, jednak pożywienie było dobre i całkowicie wystarczające.

Co do samego życia obozowego, to wszędzie najważniejszą rzeczą jest współżycie pomiędzy jej członkami oraz kierownictwem. Na obozie w Wierchomli — trzeba stwierdzić to ze stanowczością — stosunek władz do junaków był bardzo dobry. Osławionego „kapralstwa" nikt tam nie stosował, to też i my odnosiliśmy się do władz z należytym szacunkiem.

Mówiąc o współżyciu pomiędzy junakami na obozie na pierwszym miejscu należy omówić ustosunkowanie się do nas junaków bez cenzusu (cenzus oznacza ukończenie szkoły średniej) i nas do nich. Trzeba stwierdzić tu, że na obozie w Wierchomli stosunki te rozwijały się jak najpomyślniej. Nikt z nas absolwentów gimnazjalnych nie pozwolił sobie na lekceważenie junaków bez cenzusu z racji ich braku wykształcenia. Na naszym obozie nie robiono żadnych różnic i wszyscy pracowaliśmy, jedliśmy i mieszkaliśmy wspólnie, wszędzie też można było zaobserwować bardzo dobre współżycie junaków z cenzusem z junakami bez cenzusu. Mówiąc o naszym życiu obozowym nie należy zapomnieć o życiu towarzyskim; rozwijało się ono bardzo pomyślnie. Zawdzięczaliśmy to bliskości licznych miejsc letniskowych jak Żegiestowa, Piwnicznej i Łomnicy, skąd stale mieliśmy gości; naturalnie najchętniej witaliśmy płeć piękną, której braku nie odczuwaliśmy. Życie towarzyskie objawiało się u nas częstymi ogniskami, (w których prym wodzili nasi tarnowscy absolwenci znani dobrze Czytelnikom z licznych występów na tarnowskich scenach), oraz licznymi zabawami tanecznymi (dwa razy na tydzień), które mogły się odbywać dzięki temu, że posiadaliśmy własny dobry czteroosobowy jazz, w skład którego wchodzili aż trzej tarnowianie. Poza tym chór nasz brał udział w koncercie w Domu Zdrojowym w Żegiestowie i był nagrodzony za swój występ burzą oklasków.

Obóz w Wierchomli pozostawił w naszej pamięci po sobie bardzo miłe wspomnienia. Cieszymy się, że nie tylko zapoznaliśmy się z pracą fizyczną, co było głównym zadaniem obozu, lecz także wesoło i zdrowo spędziliśmy miesiąc czasu.

S. Lachowicz abs. III gimn.

Felieton

I Zjazd licealistów w r. 2000

Rozeszli się dawno, jednak z myślą, że się zobaczą. Postanowili się zobaczyć w roku 2000, jako roku sławnym, wyczekiwanym przez wszystkie narody ziemi.

— — — — — — — — — —

Jutro odbędzie się zjazd; trzeba wyjeżdżać.

— — — — — — — — — —

Nad Tarnowem zahuczało w powietrzu. Przestraszone wrony, zamieszkałe na Plantach Kolejowych i w Ogrodzie Strzeleckim od niepamiętnych czasów, poczęły strwożone uciekać, kracząc przeraźliwie tak, że wadrygnął się cały Tarnów. — Co będzie? Nasi współobywatele pochowali głowy wyczekując i rzucając pytania dookoła: — Co się dzieje?

44 autożyra jak na komendę poczęły krążyć nad gmachem gimnazjalnym i lądować na dziedzińcu.

Wnet znaleźli się wszyscy koledzy, każdy już osiemdziesięcioletni, wśród radosnych okrzyków i braterskich uścisków w gromadzie, postępującej schodami do kaplicy gimnazjalnej na uroczyste nabożeństwo, celebrowane przez księdza profesora młodszego od uczniów o 50 lat.

Po nabożeństwie pospieszyła cała gromada do klasy, w której spędziła ostatni rok wspólnie. W tej gromadzie spieszyli inżynierowie, doktorowie, niektórzy o światowej sławie, laureaci Nobla, znani na całym świecie. Tym wszystkim kłaniał się tercjan, zasłużony funkcjonariusz państwowy, z medalami: brązowym, srebrnym i złotym, wypełniający sumiennie polecone mu obowiązki.

Znaleźliśmy się w klasie i zasiedliśmy na swych dawnych miejscach.

Na samym początku dyrektor młodszy od zebranych uczniów o 40 lat, wygłosił przemówienie, kreśląc w nim treść życia człowieka. Przybyło jeszcze kilku profesorów emerytów już 100 letnich, i przemawiali. Potem poświęciliśmy chwilę wspomnieniom z lat gimnazjalnych...

Godzina matematyki zawsze była najweselszą godziną. Pamiętali ją wszyscy. Przypomnialiśmy sobie, jak uczeń, męczący się przy tablicy nad zadaniem trygonometrycznym, nie mógł dać sobie rady, wtedy profesor pomagał mu słowami: — „Męcz się chłopie, aż skonasz wśród pieśni".

Z godzin polskiego również pozostało wiele wspomnień. Uczniowie nie znający literatury, często wstawali i po kilkuminutowym staniu, gdy nic nie odpowiedzieli, usłyszeli słowa profesora: „Siądź przyjacielu, boś się zmęczył".

Lekcja niemieckiego zawsze wesoła i gwarna, nieraz z powodu wesołego usposobienia profesora, wzniecała zazwyczaj salwę śmiechu, tamowana wykrzykiem profesora: „Mund halten"! A gdy i to nie pomogło, wstawał uczeń, aby pomóc profesorowi, ten mu jednak zabraniał: „Danke schön, ja sobie sam poradzę"!

Wspomnienia te nasuwały się uczniom jak obrazy w kalejdoskopie tworząc całość życia studenckiego.

Wspólny „obiadek" zakończył I Zjazd Licealistów liceum tarnowskich.

Uczestnik Zjazdu. REU.

Felieton

Na grece

Dzwonek już umilkł i zaczyna się godzina trwogi — greka. Profesora jeszcze nie ma w klasie, a już panuje śmiertelna cisza, tylko gdzieś w kącie, jakiś „klasyk" szeptem powtarza zadaną odmianę στέργω (= kocham). Już ją umie dobrze, na pamięć, z akcentami i zdawałoby się że już spokojny. Oddał się marzeniom, zmęczony, ale to „στέργω" nie daje mu spokoju i pyta się sam siebie: — kogo ja kocham?

— Boga! Rodziców! A jeszcze? — Naród czy swoją „Afrodytę"?, czy „Afrodytę" czy Naród? i rozmyśla... przypomniał sobie bohaterstwo Leonidasa, Horacjusza Koklesa, to wojownicy o wolność narodu!

I postawił Naród przed swoją „Afrodytą", choć może ze łzą w oku, ale stanowczo.

Tę walkę wewnętrzną przerwało wejście profesora, który wnet wyciągnął swój zielony pamiętnik i wywołał jednego. Ten tak się czuł „po grecku", że nawet westnął do bogini Pallas Atene prosząc ją o pomoc. Oczywiście odmiana poszła mu doskonale, ale potem następują pytania: dlaczego jest akcent acutus? kiedy oxytonon, paroxyton, proparoxytonon? dlaczego circumflexus? kiedy perispomenon, properispomenon? jednym słowem z akcentów powstaje w głowie „wirwarr" i jakże nie ma się „spruć"?

Dziwimy się nieraz, jak mogli te dzikie proparorxytona i properyspomena zapamiętać nasi ojcowie już w 12 roku życia, gdy my nie możemy ich pojąć w 18 a nawet 20.

Ale uczymy się, bo chcemy czytać Biblię po grecku w tym brzmieniu, w jakim ją apostołowie głosili światu. **Wrona** Gimn. I.

Korespondencja z zagranicą

Koło Korespondencyjne przy III państw. gimn. donosi, że od 10 lat prowadzi korespondencje z Polakami za granicą głównie mieszkającymi w Paranie (Brazylia) z koloniami w Iwai, Hernals.

Na życzenie tamtejszego nauczycielstwa „Koło Koresp." wysyłało rocznie przeciętnie po 50 książek szkolnych, jak podręczniki do nauki polskiego, historii i religii oraz miesięczniki, duże mapy Polski wywykonane przez uczniów. Od naszych rodaków z za oceanu otrzymali uczniowie nasi kolekcję marek zagranicznych oraz kolekcję motyli brazylijskich.

Odpowiadając na list otwarty p. Krasnodębskiego z Afryki w Ilustr. Kurierze Codz. uczniowie naszego zakładu wysłali w maju 2 paczki książek i gazet ilustrowanych na ręce p. Krasnodębskiego przeznaczonych dla Polaków z Legii cudzoziemskich w Foum el Hassan (Marokko.) Dostaliśmy list, który przytaczamy dosłownie:

Listy i gazety otrzymaliśmy, za które serdecznie dziękujemy. Bardzo jesteśmy wdzięczni za zainteresowanie się sprawą Rodaków w Legii cudzoziemskiej. Służba w Legii trwa 5 lat, o ile ktoś nie chce zostać dłużej. Przeszkolenie wojskowe odbywa się w Algerii. Następnie wyjeżdżamy do Marokka, Syrii i Tonkinu. My właśnie jesteśmy w Marokku w 4 pułku, który stacjonuje w Marakechu w kompanii automobilowej, która stacjonuje w dużej oazie pod nazwą Foum—el—Hassan. Placówka nasza leży w dolinie otoczonej zewsząd górami Atlasu. Ach, te góry! Kopce rozpalonych gruzów i kamieni. A jak

my tu żyjemy? Otóż dyscyplina jest łżejsza jak w innych formacjach z powodu złego klimatu. N. p. w skwarny dzień temperatura dochodzi od 70—80° Celsjusza, ludzie snują się jak cienie. Bywają też wypadki porażenia słonecznego, które 80 proc. bywają śmiertelne, ponieważ najbliższy szpital odległy jest o 300 km. Dnie płyną monotonnie, pracujemy niewiele, za to wieczorami ruch ożywia się, jedni siedzą w bibliotece, inni przy bufecie lub idą na spacer. Pożywienie mamy niezłe, tylko brak jarzyn świeżych zastępuje się konserwami. Co do nas Polaków to mamy niezłą opinię i poważanie. Dodamy jeden charakterystyczny fakt, że muchy, których pełno teraz, wyginęły od gorąca. Napewno nie uwierzycie, że w lecie każdy legionista wypija przeciętnie 10--20 litrów wody, która w południe jest gorąca i można ją pić jak herbatę. Proszę mi wybaczyć, jeżeli popełniłem jaki błąd lub nietakt, ale w takim piekle nie można skupić myśli.

Na razie kończę tych kilka słów. Posyłam jedną fotografię, gdyż na razie nie mam więcej i kilka znaczków marokańskich. Jeszcze raz dziękuję za gazety i zasyłam serdeczne pozdrowienia od wszystkich Polaków. Ryszard Krasnodębski M Foum—el—Hassan Mlle 62096 4 REI. C.M.A. Maroc par Tiznit".

Niestety, nie możemy posyłać często żądanych książek lub gazet, opłata bowiem pocztowa jest bardzo droga. Za 2 paczki 5 kilowe zapłaciło „Koło Koresp." ni mniej, ni więcej tylko 24 zł.

O ile by jednak młodzież szkół średnich w Tarnowie zechciała składać na ręce „Koła Koresp." przy III gimn. państw. tak książki i datki dobrowolne, wtedy wspólnymi siłami możemy wysyłać częściej żądane książki i gazety. **D.H.**

Utwór przesłany bezimiennie do kolegów z Brzeska od Polaka z zagranicy, po spędzeniu w Polsce wakacyj.

Ojczyzna

Hej, ty Polsko moja miła,
Ty Ojczyzno, skarbie mój!
Ziemię twoją krew zrosiła,
Twoje skronie okrył znój.

Pradziadowie krew przelali,
Znoju pył okrywa pierś,
Lecz górą orzeł szybuje
— Naszą miłość, orle, nieś.

Polsko! Patrzę na Twe skrzydła
I koronę na Twej skroni.
Tak. Twój obraz widzę w duszy,
Podmuch wiatru go przygoni.

Czasem siedząc nad jeziorem,
Zda się widzę Twe oblicze.
Żeby Cię naprawdę ujrzeć,
Za to dałbym swoje życie.

Bo cóż jest wart listek klonu
Gdy oderwie się od drzewa?
Siostra — gołąb nie utuli
Ni brat — liść mu nie zaśpiewa.

Ja bez Ciebie, Polsko miła,
Jestem jako liść bez drzewa
Słonko dla mnie pociemniało,
Wszystko pieśń mi smutku śpiewa.

Chyba tylko skowroneczek
Pozdrowienie piosnki swemi
Dla matusi swej zaniesie,
I dla chatki i dla ziemi. *J. K.*

Wśród czasopism młodzieżowych

Najlepszym może czasopismem, wyłącznie dla młodzieży szkół średnich i przez młodzież tychże szkół redagowanym są poznańskie **„Orlęta"**. W tym roku wychodzą jako dwutygodnik. Artykuły o treści głębokiej i naprawdę wartościowej zdobią to pismo, które zdołało już dotrzeć do wszystkich prawie zakładów szkół średnich w Polsce. Nr 6 z dnia 15 XI jest poświęcony prawie całkowicie rocznicy dwudziestolecia. Artykuł wstępny „O Wielkiej Polsce" traktuje o znaczeniu dwudziestolecia, czyniąc przy tym szereg aluzji do dzisiejszej rzeczywistości Doskonale opracowany jest artykuł „11 XI. 1918 - 11 XI. 1938", przedstawiający nasz dorobek w ciągu dwudziestu lat w polityce, w przemyśle w literaturze. Zwracają uwagę sentecje Romana Dmowskiego wyjęte z jego dzieł.

O naszym „Świcie" piszą „Orlęta" dość trafnie „Słabszy nieco niż „Zew Gór" co do szaty graficznej jest również podgórski „Świt". Bez pretensji do pokazania jakiegoś specjalnego kierunku ideowego jest dobrym pismem wewnętrzno-szkolnym. Znajdujemy tam także artykuły o szerszym zasięgu .."

„Młody Nurt“ wydawany w Warszawie dla młodzieży szkolnej przez „Instytut Wydawnictw Społecznych“; okazale przedstawia się jego strona graficzna. 25 stron, wspaniałe rysunki i zdjęcia, kosztuje tylko 25 gr. Podobny prawie zupełnie do „Podchorążego“. Artykuły na miarę miesięczników lub dwutygodników wydawanych przez wykwalifikowanych redaktorów zawodowców.

„W Młodych Oczach“ dwutygodnik, organ „Straży Przedniej“ gorąco polecany przez Ministerstwo W. R. i O. P. Szereg artykułów o sprawach aktualnych; — wybija się poezja. Szata graficzna również wspaniała. Szereg sprawozdań i wrażeń z obozów letnich i pracy organizacyjnej „Straży Przedniej“. Również wydawany przez osoby starsze.

„Zew Gór“ nowosądecki spóźniany jak i „Świt“. Pierwszy numer wyszedł jak zawsze w pięknej i artystycznej szacie. Artykuły związane z odzyskaniem Śląska Zaolzańskiego, Spisza i Orawy. Charakter pisma regionalny. Miły obrazek sceniczny z życia harcerskiego zdobi ostatni numer. Redakcja, jak już podkreśliliśmy, większy nacisk kładzie na szatę zewnętrzną pisma, aniżeli na treść artykułów.

Ze sceny uczniowskiej.

„Karpaccy górale” Józefa Korzeniowskiego

Niegdyś bardzo popularna, a dziś prawie zapomniana tragedia J. Korzeniowskiego „Karpaccy górale“, z której wyjątek: pieśń „Czerwony pas“ i „Hej bracia opryszki“ znane są wszystkim chórom, została wystawiona w Tarnowie w 75 rocznicę śmierci autora staraniem Gimn. im. Jadwigi przez zespół złożony z uczniów III. państ. gimn. i uczenic gimn im. Jadwigi. Sztukę tę odegrano z powodzeniem 3 razy 2 razy dla szkół i publiczności, a raz dla wojska.

Ponieważ sztukę tę wznowiono po długich latach zapomnienia, należy przypomnieć czytelnikom Switu jej autora i genezę tragedii.

Józefa Korzeniowskiego znają wszyscy uczniowie głównie z dwóch zalecanych do lektury powiastek, a raczej nowel: „Spekulanta“ i „Kollokacji“.

Poza lekturą wspomnianych powieści mało kto nawet z najstarszych uczniów i uczenic dzisiejszych wie o Korzeniowskim. A to jest przecież jeden z najsławniejszych autorów i literatów epoki romantycznej, działających w kraju.

Korzeniowski urodził się na Wołyniu w r. 1798 a więc w tym roku, co Mickiewicz, uczęszczał do niemieckich szkół w Brodach i we Lwowie, stąd znał dobrze stosunki w zaborze austriackim, co się przebija już w odegranej tragedii: samowola mandatariusza, (dziś temu urzędowi odpowiada pisarz gminny), długoletnia służba wojskowa, porywanie do wojska, a nie dobrowolne stawienie się itp. Już w szkołach niemieckich miał autor możność poznania romantycznej ówczesnej literatury niemieckiej i na sztuce tej znać wpływ „Zbójców„ Schyllera, bo i w „Zbójcach“ i „Karpackich górarach“ przyczyną zostania zbójem jest doznana niezawiniona krzywda — i w obu też sztukach kochanki bohaterów giną tragicznie, zabite „z litości“ nad ich niedolą.

Korzeniowski więc, podobnie jak Brodziński, jako uczniowie szkół niemieckich, są najwcześniejszymi znawcami literatury romantycznej niemieckiej, gdy na terenie zaboru rosyjskiego młodzież szkolna tej literatury nie znała i nie studiowała; (Mickiewicz bowiem poznał język niemiecki jako samouk). Korzeniowski opuszcza jednak Galicję i udaje się do Królestwa i przygotowuje Zygmunta Krasińskiego do matury, względnie najwyższej klasy gimnazjalnej w Warszawie, a potem zostaje profesorem Liceum Krzemieckiego, po Euzebiuszu Słowackim i Alojzym Felińskim, klasykach, którzy zbyt krótko piastowali tam katedry.

Wykłady literatury traktuje podobnie Brodziński. Stanowią one ostatni tj. 5 tom jego zbiorowych dzieł wydanych przez „Bibliotekę Kłosów“.

Podobnie jak Brodziński, Euzebiusz Słowacki i Feliński zajmuje się nie tylko oceną wartości dzieł poetów i pisarzy, ale i sam tworzy. I gdy Feliński znany jest z tragedii klasycznej „Barbary Radziwiłówny“ i liryków, między innymi z hymnu „Boże coś Polskę“, Brodziński z „Wiesława“ i liryków, Euz. Słowacki również pisał liryki i tłumaczył Wergilego, to Korzeniowski jest najpłodniejszym z profesorów. Napisał bowiem wiele powieści, z których najlepszą są „Krewni“, pisał wiele komedyj, tak dobrze ilustrujących życie, że jeszcze dziś wielkie teatry z powodzeniem je wznawiają np. w Krakowie grano niedawno komedię „Pannę mężatkę“ i „Starego męża“. Pisze też wiele tragedyj, z których najsłynniejsza „Karpaccy górale“. Razem napisał przeszło 50 utworów dramatycznych, prześciga więc ich ilością Fredrę Słowackiego i Wyspiańskiego.

Korzeniowski unikał polityki. Nie brał udziału w powstaniu listopadowym, dlatego po zamknięciu Liceum Krzemieckiego był profesorem uniwersytetu (ale literatury łacińskiej) i wizytatorem szkół w Kijowie i Charkowie. Mimo to korespondował z wszystkimi ośrodkami kultury polskiej, dlatego też wystawiono jego dramaty we Lwowie, Krakowie i Warszawie, Za Wielopolskiego był prezesem Izby Edukacyjnej w Warszawie; gdy zaś zanosiło się na powstanie r. 1863, wyjechał za granicę i tam umarł.

Zasługi miał ogromne choćby z tego powodu, że szerzył kulturę literacką w Polsce pod zaborem

rosyjskim i austriackim w czasie największego jej prześladowania i najostrzej cenzury Dlatego zasługuje na uznanie. Po śmierci jednak nasi krytycy literaccy ignorowali go jako nierewolucyjnego, dlatego utwory jego są mało znane. Można go bowiem zaliczyć do pierwszych pozytywistów wyprzedzających Świętochowskiego, Prusa i Orzeszkową, bo zwracał uwagę na rozwój kultury, zalet gospodarczych i cnót życia codziennego, a unikał krzykliwości politycznej i obok Fredry i Kraszewskiego wykazał największe zasługi dla rozwoju **kultury literackiej**.

„Karpaccy górale" to dramat romantyczny ideą i formą (forma szekspirowsko-szylerowska brak trzech jedności) stąd w wystawieniu go trzeba go było podzielić aż na 11 odsłon. Ale aktorowie uwijali się bardzo szybko. W grze mogły się trafić pewne niedociągnięcia, ale na ogół aktorowie wyrównali je innymi partiami z prawdziwym odczuciem odegranymi. Razić mogła tylko znawców naszych gór różnorodność kostiumów, większość bowiem miała kostiumy górali tatrzańskich a nie Huculów spod Howerli. Ale to drobiazg, dający się usprawiedliwić trudnością w ich pożyczeniu.

Za wystawienie tej sztuki możemy tylko pochwalić tak zespół aktorów, reżyserję, jak dekoratorów.

P.



Z wakacyjnej włóczęgi harcerskiej

Hop! — Siup! — Tak — tak — tak. Olbrzymi pociąg złożony z lokomotywy popularnie „samowarkiem" zwanej i jednego, (słownie jednego) wagonu, który skakał za matką lokomotywą jak ciele na powrozie pędząc z zawrotną szybkością, dochodzącą nieraz do..! 20 km. na godzinę, wiózł nas w bezkresną dal. Dal ta nie była tak bardzo bezkresną gdyż kończyła się w........ P. Było nas dwóch tylko i byliśmy jedynymi pasażerami.

W różowym blasku pierwszych promieni wschodzącego słońca, zmieszanym z bladym, żółtym światłem latarki oglądał konduktor nasze bilety dziwiąc się niepomiernie naszemu „cudackiemu" ubiorowi. Tak ubranych gości widział zapewne po raz pierwszy w życiu. Gołe łydki i łokcie, koszula, porteczki trzymające się na pasku, ogromne plecaki, z przytroczonymi saperkami leżące na półce, nie wzbudzały bynajmniej zaufania w starym, doświadczonym funkcjonariuszu lokalnej kolejki i gdyby nie zniżki szkolne wziąłby nas za cyganów, (nie wiele by się omylił) lub jeszcze coś gorszego. My byliśmy niemniej zdziwieni, gdy sędziwy urzędnik wąskotorowej linii P.K.P. po skontrolowaniu biletów zamiast je nam oddać, z całym spokojem schował do kieszeni i oddalił się jakby nigdy nic. Nie zatroszczył się nawet o to, jak nas wypuszczą z peronu. Pierwszą naszą czynnością po wyjściu konduktora było otwarcie okna. Z rozkoszą wdychiwaliśmy zimne, orzeźwiające powietrze przepojone żywiczną wonią lasów, pośród których biegł pociąg. Wstające słońce świecąc nam prosto w twarz zmuszało nas do zmrużenia oczu. Zapominając o odrapanych ławkach i brudnych szybach myślą przenosimy się do celu naszej podróży. Mieliśmy zamiar „połazić" nieco po Górach Świętokrzyskich. Znaliśmy już dobrze Beskid śląski i zachodni, Tatry i Pieniny; nie byliśmy jednak w t. zw. „Górach Średnich" Polski. Co prawda wyprawa nasza była zorganizowana na „odtrąbiono". Żywności na dwa dni, stara rosyjska mapa, namiocik dwuosobowy, o którym wiadomo było, że nie przecieka, gdy nie ma deszczu, — oto kilka szczegółów z naszego wyekwipowania. Na dwie godziny przed wyjazdem z rodzinnych pieleszy nie śniło się nam nawet, że gdziekolwiek pojedziemy Jedyną naszą pociechą była mała karteczka z planem sytuacyjnym „Obozu Wilków", od których mieliśmy dostać mapy i prowiant. Niestety, wadą owego szkicu było to, że nie „synchronizował" z żadną częścią naszej mapy, a o „Wilkach" wiedzieliśmy tylko tyle, że obozują między Olszownicą a Jeleniowem, że w pobliżu ich obozu, jak wskazuje szkic, jest jakaś góra; (albo to mało gór w górach?), oraz jakaś nadzwyczajnej wysokości topola czy wierzba.

Zresztą grunt się nie przejmować! Wygodne buty mamy, a z niejednego kotła piliśmy już zupkę obozową — zawsze sobie damy radę.

Podróż była na ogół miła i bez ważniejszych wypadków. Lokomotywa wesoło „pykała" parą, jak imbryk z gotującą się wodą, wagonik wesoło podskakiwał za nią, a przed naszymi oczami przesuwał się naprawdę ładny krajobraz. Łagodne pagórki, pokryte lasem świerkowym i jodłowym, tu i ówdzie rzeczka lub stawek, to znów łąki i pola, przecinane prościutkimi, białymi liniami szos, sta-

nowiły nadzwyczaj miłe punkty oparcia dla naszego wzroku. Zielone łąki na skraju ciemnych lasów nad rzeczkami aż prosiły o rozbicie namiotów i rozłożenie ognisk obozowych.

„Piekielna machina" ciągnąca nasz wagon, dostała najwidoczniej zadyszki i kataru. Zamiast regularnie sapać poczęła kaszleć i kichać; wagon sunął już grzecznie i spokojnie, ale coraz wolniej. Wreszcie cały aparat stanął, mimo, że stacji ani przystanku nie było.

— „Wysiadać i popychać!" — krzyknąłem do Zbyszka.

Na szczęście nie było tak źle. Po prostu w kotle machiny parowej zabrakło wody. Palacz, który zeskoczył z „samowarka" i konduktor nie byli wcale tym faktem zaniepokojeni. Im to zresztą „nie pierwszyzna". Maszynista zatrzymał pociąg nieopodal małego stawku. Natychmiast palacz rozwinął węża gumowego z sitkiem do fitrowania. Jeden koniec przykręcono do otworu w kotle, a drugi koniec palacz bezskutecznie usiłował wsadzić do wody. Okazało się jednak, że wąż był o dobry metr za krótki. Kierownik „pociągu" błędnym wzrokiem szukał najbliższej wioski, maszynista wołał o pomoc do niebios. Pomni na 3 punkt prawa harcerskiego, a zresztą w swoim własnym interesie, zaofiarowaliśmy naszą pomoc kierownikowi. Ten z niedowierzaniem spojrzał na nas, wątpiąc zapewne, czy takie dwa podejrzanie wyglądające osobniki mogą mu pomóc; ale ostatecznie zgodził się, bo cóż zresztą lepszego miał do zrobienia? Konduktor i maszynista z ciekawością przyglądali się nam z pełnym wyczekiwania uśmiechem. Z robotą zwinęliśmy się szybko. Odpięliśmy od plecaków saperki i dalej! Wykopać rów metrowej długości w terenie lekko podmokłym i „przedłużyć" w ten sposób staw wsadzić w ten rówaitko potrafi byle kiep w kilkanaście minut. Maszynista resztą pary poruszył pompę, kierownik podziękował nam protekcyjnym uśmiechem, węża zwinięto lokomotywa zwycięsko gwizdnęła i... po maleńkiej godzinie, zużytej na rozgrzanie kotła, ruszyliśmy w dalszą drogę. Bez godnych upamiętnienia wydarzeń przybyliśmy na miejsce z dwugodzinnym opóźnieniem. Kwestia z wyjściem z peronu została rozwiązana całkiem nieoczekiwanie i bez bólu. Peronu po prostu nie było. Bilety zabrano nam w pociągu dla ewidencji ruchu.

SPORT

Piłka Nożna. W dalszym ciągu rozgrywek o mistrzostwo szkół średnich Tarnowa rozegrano następujące mecze:

Lic. Handl. — Gimn. II. 3:1. Mecz był prowadzony w dość szybkim tempie pod znakiem przewagi Lic. Handl., która szczególnie dotkliwie dla II. G. zaznaczyła się po zmianie boiska. U zwycięzców wyróżnili się ładną i skuteczną grą w bramce Jurasz, Zyga na obronie, Roik w pomocy, i Pirych w ataku. W Gimn II wyróżnił się b. ładnymi akcjami Dwurażny w bramce. Bramki strzelili dla Lic. Handl. Roik 1, Pirych, 1, Romański 1. Dla Gimn. II Baszak Mecz został przerwany na 12 min. przed końcem nieprzyjemnym incydentem, wywołanym przez II Gimn., zakończonym zejściem tegoż z boiska. Zawody prowadził dość dobrze p. Tarsia.

Lic. Handl. — III. Gimn. 7:1. Druzgocąca klęska III Gimn., które znalazłszy się wobec doskonale uspo sobionego strzałowo Lic. Handl. nie mogło dojść do głosu. Bramki dla zwycięzców zdobyli: Roik 4, Zyga, Pirych i Romański po jednej. Dla III Gimn. Łoś. Sędzia p. Berszakiewicz.

I Gimn. — III Gimn. 7:1. Mecz na niskim poziomie technicznym. Łupem bramkowym podzielili się: Bazali 4, Tarsia 1, Włodarczyk 1, Kozioł z wolnego. Dla III Gimn. — Szpak. Musimy ze smutkiem stwierdzić wybitne obniżenie poziomu drużyny III Gimn. która też uplasowała się ostatecznie na ostatnim miejscu. Wpłynęło na to niewątpliwie opuszczenie III Gimn. przez tak wybitnych graczy jak Pirych, Serafini, Markowski i in. Mamy jednak nadzieję, że drużyna III Gimn. przełamie w następnym sezonie passę niepowodzeń i zajmie lepsze miejsce w tabeli. Sędzia p. Paluch dobry.

Lic. Handl. — I Gimn. 6:1. Ostatni mecz o mistrzostwo z jesiennej rundy, przyniósł wysokie i zasłużone zwycięstwo drużynie Lic. Handl., Mecz był prowadzony w żywym tempie, które znalazło odzwierciedlenie w wysokim stosunku bramkowym. Bramki strzelili dla Lic Handl Czapnik 2, Romański 2, Siemek i Augustyn po jednej. Dla Gimn. I Włodarczyk. Sędzia p. Berszakiewicz. Mecz przyniósł w wyniku mistrzostwo zwycięzcom. Należy zauważyć, że Lic. Handl., które było w ciągu poprzednich mistrzostw autseiderem, zajęło w obecnych mistrzostwach zaszczytne 1 miejsce tracąc tylko 1 punk na rzecz v-mi. Drużyna ta jest obecnie bez wątpienia najlepszą na terenie Tarnowa.

Tabela mistrzostw szkół średnich:

	Gier	Punktów	bramek
Lic. Handl.	6	11	22:5
I Gimn.	6	7	15:10
II Gimn.	6	6	12:11
III Gimn.	6	0	4:28

Gry sportowe. Dorocznym zwyczajem został zorganizowany międzyszkolny turniej siatkówki męskiej i żeńskiej, i koszykówki męskiej. Rozgrywki siatkówki odbywały się na sali „Sokoła" w obecności licznie zgromadzonej publiczności. W siatkówce męskiej mistrzostwo zdobył zespół Lic. Handl. W składzie: Zyga, Roik, Trędota, Serafini, Siemek, Mousson. Drugie miejsce zajęła drużyna I Gimn. po ciężko wywalczonym zwycięstwie nad III Gimn.

W siatkówce żeńskiej mistrzostwo zdobył zespół Gimn. św. Jadwigi po zwycięstwie nad faworytem mistrzostw zespołem Gimn. Kingi. Z gry wszystkich zespołów żeńskich poza zespołem Kingi przebijał brak treningu i zgrania. Szczególnie można to było zauważyć w zespole Lic. Handl., który to zespół jakkolwiek składa się z zawodniczek, stojących na dość wysokim poziomie technicznym, jednak nie rozumiejących się i mało zgranych, nie odegrał poważniejszej roli w mistrzostwach.

W koszykówce męskiej w dalszym ciągu dominuje Lic. Handl., które zdobyło mistrzostwo w składzie: Pirych, Serafini, Trędota, Zyga, Roik. Pokonało ono bezapelacyjnie, po b. ładnej i zaciętej grze I Gimn. w stosunku 22:2 i Gimn. III. — 24:3. Trzeba dodać, że zespół Lic. Handl. grał dwa mecze pod rząd wychodząc mimo to zwycięsko z obu spotkań.

W rozgrywkach o mistrzostwo A klasy siatkówki męskiej okr. krakowskiego Z. S. "Tempo" pokonało „Sokół" w dwu setach. Również i rewanż nie udał się drużynie „Sokoła" gdyż uległa ona "Tempu" także w dwu setach.

13 listopada odbył się na sali „Sokoła" turniej o mistrzostwo „A" klasy z udziałem zespołów: „Wisły", „Cracovii". „Sokoła" i "Tempa". Wyniki były następujące:

Wisła — Sokół 15:8, 14:9
Tempo — Cracovia 15:13, 15:12
Tempo — Wisła 7:15, 15:13, 13:15
Cracovia — Sokół 15:10, 15:13

Porażki „Sokoła" należy sobie tłumaczyć prawie całkowitym odmłodzeniem składu, co nie zostało bez wpływu na wyniki. Stara bowiem gwardia „Sokoła" zmieniła barwy klubowe i przeniosła się bądź do „Olszy" bądź do „Tempa". Mamy jednak nadzieję, że sympatyczna drużyna „Sokoła" odzyska należne jej stanowisko.

Piłka nożna. Brzesko — **S. K. S. Tarnów — S. K. S. Brzesko 4:1** Mecz na dość dobrym poziomie pod znakiem przewagi Tarnwian, którzy wykazali dużą bojowość i technikę. Atak tarnowski dobrze i często strzelający na bramkę, napotkał w bramkarzu S. K. S. Brzesko przeszkodę trudną do zwalczenia. Jemu też mógł S. K. S. Brzesko zawdzięczać niski stosunkowo wynik bramkowy. W drużynie tarnowskiej wyróżnili się: Roik, Pirych, Tarsia i obrona. W drużynie brzeskiej — bramkarz. Bramki strzelili: Pyrich 2, Roik i Tarsia po jednej. Dla pokonanych: p. łącznik. Musimy nawiasem dodać, że ekspedycja tarnowska była mocno rozczarowana przyjęciem, jakie jej zgotowała publiczność brzeska. Bo przecież można było słyszeć pod adresem graczy takie wykrzykniki jak: złam mu nogę, w kość go, i t. p. Mamy nadzieję że publiczność brzeska na następnych meczach trochę uprzejmiej przyjmie gości.

Tren.



MY CHCEMY CISZY

Raz na pewnym przedstawieniu
W najtragiczniejszym momencie,
Ktoś śmiać się zaczął zawzięcie
Ukryty w galerii cieniu.
A w tyle ktoś z przyrodników,
(Skłonnych jak zwykle do krzyków),
Rzecze: Każdy z nas mało co słyszy!
I wznieśli chórem wrzask: „My chcemy ciszy!"

CUKIERKI Z RUMEM

Junak Leoś na obozie
Dostał z domu w wielkiej
Cukierków nadzianych rumem ..
Lecz nie chcąc się dzielić z tłumem,
Wszystkie pod koc na swej pryczy
W tajemnicy wielkiej złożył. —
Lecz za chwilę na tym łożu
Odbył się mecz zapaśniczy.

PYTANIE SIERŻANTA

Jeden stary sierżant z P. W.
Pyta się raz pełen gniewu:
„Gdzie drużyna nasza stoi!?"
— Gdy się każdy mówić boi,
Krzyczy sierżant w wielkim gniewie:
„Skandal! Jakto, nikt z was nie wie?
To jest licejalna klasa??!
— Sómeśmy na skraju lasa!"

TRUBADUR OTRZYMAŁ KWIATEK

Raz Kajtuś, amant klasyczny,
Ułożył wierszyk liryczny
I po skończonym dzionku
Pod oknem swej Beatricze
Dobywa tony słowicze:
O wiośnie, o kwiatach, o słonku.
Wzruszona tym jego miła
Kwiatek mu z okna rzuciła
Na głowę, — (A był w wazonku).

Godziny urzędowe Redakcji i Administracji poniedziałki od 5—6 po poł.

CENY OGŁOSZEŃ: Strona 80 zł., pół strony 40 zł., 1/4 strony 20 zł. Mniejsze według umowy.

Wyd. i red. odp.: prof. Wróblewski Walerian.

Red. nacz. A. Rodziński, administrator J. Trendota. Kom. ścisł. Z. Gancarczykówna i E. Bernacki.

Drukarnia Ludwika Styrny w Tarnowie, Pasaż Tertila — Telefon Nr. 313.